

# Tadeusz Biliński

---

## Od Thugów do bombajskiej mafii

---

Palestra 42/5-6(485-486), 101-109

---

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Tadeusz Biliński**

## **Od Thugów do bombajskiej mafii**

Dwunastego sierpnia ubiegłego roku, około dziesiątej rano Gulshan Kumar, ubrany jak zwykle w biały strój zwany kurta pyjama wyszedł ze świątyni Jesteshwa Mahadev, którą sam ufundował kilka lat wcześniej. Do domu w Andheri, luksusowej dzielnicy Bombaju miał niedaleko. Kumar był jednym z najbogatszych ludzi w Indiach, w 1993 roku zapłacił najwyższy w kraju podatek dochodowy. Założył i kierował firmą Super Cassettes, wokół której wybudował później swoje rozległe imperium finansowe, o wartości szacowanej na miliard dolarów. Chociaż mieszkał w Indiach, był człowiekiem pasującym idealnie do amerykańskiego wzorca kariery od pucybuta do milionera. W latach siedemdziesiątych handlował z wózka sokiem owocowym przy Connaught Place, centrum handlowym New Delhi, później nie bez finansowej pomocy mafii zajął się nielegalnie kopiowaniem kaset magnetofonowych. Na tym procederze, po rozwinięciu go na skalę, która przyniosła mu przydomek „piracki król” zrobił fortunę. Wkrótce zaczął się dywersyfikować wchodząc w produkcję wody mineralnej, proszków do prania, sprzętu wideo a na koniec – w biznes filmowy. Do 1997 roku nakręcił dziesięć filmów, z których większość przyniosła bardzo dobry zysk. Gulshan Kumar był zdolnym i przedsiębiorczym człowiekiem. Grożono mu, jak wielu innych przemysłowców spotykał się z próbami wymuszenia, ale nie traktował tego zbyt poważnie. Nawet osobistego ochroniarza ze staniem, zaspanego, niedożywionego policjanta, którego przydzielił mu jeden z komisariatów, nie zabierał ze sobą wychodząc z domu. Mocno wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę i opiekę boga Sziwy, który, jak mawiał, ma go szczególnie na względzie. Niestety pomylił się wchodząc w drogę kilku ważnym ludziom, co przyniosło tragiczne skutki.

Kiedy wyszedł ze świątyni na ulicę, trzymając w ręku niewielki metalowy talerzyk, na który kapłan nałożył nieco prasadu, czyli ofiary wcześniej złożonej na ołtarzu boga, czekało już na niego czterech młodych ludzi. „Dość się już namodliłeś” zawołał jeden z nich „a teraz nadszedł twój koniec”. Kumar dostał cztery kule z dziewięciomilimetrowych pistoletów. Ranny pobiegł do znajdujących się w pobliżu zabudowań, ale przerażeni lokatorzy, widząc broczącego krwią człowieka i podążających za nim czterech uzbrojonych bandytów zryglowali drzwi. Spróbował otworzyć sąsiednie, ale były zamknięte. Dopadł publicznej toalety i tam się

przewrócił. Bandyci posiekali go w sumie osiemnastoma pociskami, potem spokojnie wyszli na ulicę, zatrzymali przejeżdżającą taksówkę i zniknęli w prawie dwudziestomilionowym Bombaju.

### Setki lat tradycji kryminalnej

Zorganizowana przestępczość ma w Indiach długą tradycję. Od średniowiecza do lat trzydziestych zeszłego stulecia postrachem indyjskich dróg byli thugowie, zawodowi, dziedziczni mordercy-rabusie wywodzący się z kilku plemion określonych potem przez Brytyjczyków jako „plemiona kryminalne”. Thugowie działali w całych Indiach, w królestwach pozostających pod władzą mużułmanów i hindusów, na północy i na południu. Poruszali się głównie wzdłuż szlaków pielgrzymkowych i po trasach uczęszczanych przez kupców. Wędrowali grupami po kilka lub kilkanaście osób przebrani za pielgrzymów, świętych mężów, kupców, żołnierzy, fakirów, mużułmanów lub hindusów. Najczęściej przyłączali się do wędrujących karawan prosząc o opiekę – przed thugami, albo godzili się „zaopiekować” samotnym wędrowcem. Zdobywali zaufanie współtowarzyszy podróży trwającej nierzadko wiele dni lub nawet tygodni. Dokładnie poznawali ich historię, koligacje rodzinne, miejsca robienia interesów. Informacje te wykorzystywali później przy tworzeniu sobie nowej, fałszywej, ale jakże prawdopodobnej tożsamości. Nierzadko wcielali się w osobowość swojej ofiary i tam, gdzie było to możliwe prowadzili podwójne życie. Thugowie, kiedy znaleźli się w większej grupie potrafili mordować całe karawany, z reguły atakowali w nocy i od tyłu dusząc współtowarzyszy podróży jedwabnymi szalami. Są do tego dobre – mocne i śliskie, łatwo i szybko pozbawiają życia. Nierzadko wcześniej oszalałami ofiary przy pomocy opium. Atak następował najczęściej w lesie podczas odpoczynku. Thugowie działali zarówno na lądzie jak i na trasach wodnych głównych rzek Indii. Rozbójnicy „wodni” atakowali nocą poruszając się na lekkich zwinnych łodziach przed którymi duże i ciężkie barki kupieckie nie miały szansy ucieczki. Mieli naturalnie swoją boginię, do której kupili się i której składali ofiary przed wyruszeniem na akcję.

W początku dziewiętnastego wieku stali się prawdziwym postrachem podróżujących po Indiach. Był to czas chaosu politycznego zaś bandyci cieszyli się poparciem lokalnych radzów i możnowładców, z którymi dzielili się łupem w zamian za ochronę. Dopiero w latach dwudziestych, w miarę umacniania władzy brytyjskiej sytuacja zaczęła się zmieniać. Jeden z Brytyjczyków, Robert Sleeman, postawił sobie za cel likwidację tej epidemii napadów i mordów. Przystąpił do tego w bardzo naukowy i jak się okazało, efektywny sposób. Sleeman i zebrana wokół niego grupa Brytyjczyków i Indusów rozpoczęła od studiowania obyczajów, wierzeń religijnych i języka jakim posługiwali się thugowie. Nie było to łatwe, ponieważ stosunkowo niewielu z nich trafiało do aresztu, a spośród tych, którzy się tam znaleźli, tylko mała część decydowała się mówić. Po latach ciężkiej pracy udało się jednak. Sleeman tak dokładnie potrafił wcielić się w osobę thuga, że kilka razy sam przyłączał się do grup wędrownych morderców. Dokładna znajomość sposobów działania rabusiów zaowo-

cowala na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych zeszłego stulecia ostatecznym wyeliminowaniem tej plagi i indyjskich dróg. Część skazano na powieszenie, innych na długoletnie wyroki więzienia, innych zaś deportowano do odległych terytoriów, wielu na wyspy andamańskie. Bandyci oczywiście w Indiach pozostali, ale byli to już zwykli przestępcy, jakich nie brakuje w każdym kraju. Zlikwidowano jednak thugów jako organizację, jako odrębną jakość z własną hierarchią, obyczajami i religią.

Jedną z wielkich zalet władzy brytyjskiej w Indiach było wprowadzenie zasady praworządności i choć rządy kolonialne były dalekie od ideału to wielu leciwych dziś obywateli Indii z nostalgią wspomina czasy „brytyjskich sahibów” kiedy prawo było prawem zaś sędziego ani policjanta, ani komisarza dystryktu nie dawało się przekupić. Ciekawym zjawiskiem w dzisiejszych Indiach jest odradzanie się działalności „plemion kryminalnych”. Jedno z nich zwane Paes działa w okolicach Delhi zajmując się przede wszystkim włamaniami do domów bogatych ludzi. Napady połączone są najczęściej z mordowaniem mieszkańców przy pomocy różnych prymitywnych narzędzi: łomów, pałek drewnianych i młotków. Przestępcy, przebrani za domokrążców, sprzedawców owoców, gazet, lodów przez wiele tygodni potrafią obserwować wybrane miejsce. Uderzają zawsze w nocy, ubrani tylko w slipy, wysmarowani oliwą od stóp do głów co już nie raz pomogło im podczas ucieczki, kiedy udawało im się, dosłownie, wyslizgnąć z ramion policjantów próbujących ich schwytać. Paesi mają własną tradycję kryminalną, własną boginię i odrębne obyczaje dość podobne do tych, które tyle lat temu opisał Sleeman w swojej fascynującej książce: „Papers on Thugee”. I co najważniejsze – jest to zawód dziedziczny. Czyżby następował powrót do tradycji?

### Bimbrownicy

Sunil Maneekshari jest szczupłym, drobnym, rześkim prawie osiemdziesięcioletnim panem trzymającym się prosto i nie pozbawionym poczucia humoru. Za czasów brytyjskich rozpoczął karierę w Indian Civil Service, później kontynuował ją w Indian Administrative Service dochodząc do średnio-wyższego szczebla joint-secretary, co odpowiadałoby stanowisku nieco wyższemu od naszego dyrektora departamentu. Codziennie o szóstej rano, bez względu na upał czy chłód czy monsunową słotę wyprowadza swojego spaniela Bobby na spacer wzdłuż plaży w Juhu Beach, luksusowej dzielnicy Bombaju, choć nie tak eleganckiej jak Malabar Hill. Juhu zamieszkują tacy jak on, emerytowani biurokraci, najczęściej bogaci z domu i biznesmeni, choć nie ci najbogatsi. Najbogatsi mieszkają w Malabar Hill, zaś ci bogatsi jeszcze od najbogatszych – w Londynie. W latach sześćdziesiątych Sunil został oddelegowany z departamentu podatków, jako łącznik do specjalnego wydziału policji zajmującego się zwalczaniem nielegalnej produkcji alkoholu.

– To było bardzo zabawne – zauważył, kiedy siedzieliśmy na tarasie Country Club, z którego rozciągał się widok na nocny, rozświetlony Bombaj i czarne, szumiące falami wody zatoki – tak sobie dziś popijamy piwo publicznie i bez zenady, a zaledwie trzydzieści lat temu, nie uwierzy pan, ale należało do moich obowiązków

dbanie o to, żeby nikt nigdzie w Bombaju nie tylko piwa nie pił, ale nawet go nie oglądał. Wyobraża pan sobie, jak cierpiałem? Takie to były czasy, kiedy nasi kochani kongresowi ministrowie postanowili, zgodnie z najlepszą purytańską tradycją zbawić nasze dusze zakazując nawet tej odrobiny przyjemności jaką ma się wychylając szklaneczkę.

– Komu to przeszkadzało?

– Ba, byli tacy. Jawaharal Nehru sam pijał dobrą whisky, ale uznał, że inni, nie powinni, bo co wolno wojewodzie, i tak dalej. Zresztą był hipokrytą, jakich mało i to nie wyłącznie w kwestiach alkoholowych. Wszystko zaczęło się oczywiście od tego, że Mahatma Gandhi pijał wyłącznie wodę i kozie mleko...

– No i żył długo i zdrowo – wtrąciłem.

– ...dopóki nie został zastrzelony, tak. Ale szczerze mówiąc nie chciałbym żyć tak jak on, pomimo mojego całego, głębokiego szacunku dla tego człowieka. Ja żyję już prawie osiemdziesiąt lat, whisky pijam i na chorowitego nie wyglądam. Ale nie o Mahatmę najbardziej tu chodzi. Wszystko zaczęło się tak naprawdę od Morarji Desaia, kiedy w początku lat sześćdziesiątych rządził w Bombaju. To był wyjątkowy człowiek, taki hindus-purytanin, który nie tylko nigdy alkoholu nie powąchał, ale nawet brzydził się butelkę obejrzeć. Desai był człowiekiem wyjątkowych zasad, trzeba mu to oddać, politykiem jakich mało ale jednocześnie głęboko wierząc w słuszność własnych mniejszych i większych dziwactw odmawiał innym prawa do ich własnych drobnych przyjemności. Jeśli mam ochotę się napić to kim jest jakiś polityk, jakiś samowolny stróż moralności publicznej, żeby mi na to nie zezwalał? Morarji zaś nie pijał alkoholu, bo miał manię picia moczu...

– ...?

– Mocz, pijał własny mocz. Uważał, że jest dobry na wszystko, no wie pan, wierzył w cudowne działanie moczoterapii.

– A na jakież to schorzenia pomaga picie moczu?

– Oh, na różne – zaśmiał się pan Maneekshari – na kataraktę oka, gruźlicę, padaczkę. Prawdę mówiąc prawie na wszystko, tak tu wierzy wielu ludzi. No, w każdym razie nasz Morarji, kiedy przychodził na przyjęcie, to żartowano sobie, że zamiast szklaneczki whisky zamawia szklaneczkę moczu, kolor jest przecież podobny. Więc rozumie pan, człowiek taki jak on nie mógł, no po prostu nie mógł znieść takich jak ja, którzy preferują jednak prawdziwą szkocką. I to było dla mnie szczególnie nieprzyjemne, że z jego polecenia musiałem zatruwać życie normalnym ludziom, którzy mieli ochotę sobie wypić, mniej lub więcej, ale to w końcu ich sprawa, prawda?

– Skutki takiej polityki były optakane, gdybyśmy zresztą poszli po rozum do głowy i wyciągnęli wnioski z czasów amerykańskiej prohibicji to z góry wiedzielibyśmy jak się to może skończyć. Tak jak w Stanach Zjednoczonych Cosa Nostra wyrosła na nielegalnym pędzeniu alkoholu tak u nas wypała się na tym i na przemyśle, nasza lokalna indyjska mafia. A jak się taka organizacja raz pojawi, to potem bardzo, bardzo trudno jest się jej pozbyć, choćby nie wiem jak się starano. Dlatego nasz świat przestępczy po prostu zakochał się w Desaiu! W Bombaju

mieszkało wtedy jakieś siedem–dziesięć milionów ludzi, mieliśmy tu największy slums na świecie zamieszkały przez blisko milion – i wszyscy ci ludzie musieli się od czasu do czasu napić. Skoro nie mogli legalnie, to robili to nielegalnie. Jak grzyby po deszczu wyrosły grupy przestępcze. Najpierw zaczęły się rabunki: spirytusu przemysłowego, nawet metylowego od którego co roku umierało mnóstwo ludzi, napady na apteki, na cysterny w których transportowano spirytus. Potem rozwinęła się organizacja bimbrownicza. W szczytowym okresie doszło do tego, że bimber pędzono w co dziesiątym mieszkaniu. Podziemny przemysł rozwinął się tak bardzo, że niektórzy mafijni bimbrownicy potrafili produkować dziennie tysiące galonów alkoholu. Razem z policją uczestniczyłem kiedyś w nalocie na całą wioskę bimbrowników pod Bombajem. W zasadzie zajmowali się łowieniem ryb, mieli na plaży te swoje dłubanki, którymi wypływali w morze, sieci i nędzne chatki pod palmami. Ale naprawdę zarabiali na pędzeniu alkoholu. Przekopaliśmy plażę odgrzebując setki żelaznych i glinianych pojemników, w których dojrzewał zacier. Dojrzwianie przyspieszali dodając jakieś chemiczne świństwa, tak że po dwóch, trzech dniach nadawał się już do destylacji a do pojemników nalewano natychmiast nowy. Spróbowałem tego ich bimbru i muszę się przyznać, że był straszny, okropny, równego mu paskudztwa nigdy wcześniej nie piłem, ale sprzedawał się i oni z tego żyli lepiej niż z łowienia ryb. Oczywiście dostawali marne grosze bo to nie oni dostarczali materiał, nie oni rozprowadzali towar i opłacali policję.

– Ale policja jednak ten nalot wspólnie z panem zrobiła.

– Tak, bo policja musi się czasem czymś przed swoimi zwierzchnikami wykazać. Robi co jakiś czas jakiś nalot, wliczany później w koszty produkcji. Zamknęliśmy wtedy kilku rybaków, ale co z tego? Nie oni to przecież organizowali. Z biegiem czasu policjanci połapali się, że z bimbrownikami da się żyć w zgodzie. Policja będzie mauna, czyli przemykać oczy i milczeć o tym co widzi, w zamian za regularną haftę, czyli opłaty. Obliczaliśmy w tamtych latach, że tylko w Bombaju działało przynajmniej dwadzieścia pięć tysięcy nielegalnych barów i każdy musiał się opłacać. Powstał dzięki temu system, który przetrwał i umocnił się tak bardzo, że obecnie jest już nie do ruszenia. Samodzielnie mafia by nie przetrwała, wraz z policją robi co chce. Oczywiście, bimbrowniczy interes już się skończył, ale powstała organizacja, która zaczęła sobie szukać nowych pól działania i bardzo szybko je znalazła.

### Silnik lotniczy cały ze złota

Kilka lat temu mieszkałem przez miesiąc w hotelu Relax w delhijskiej dzielnicy Paharganj. Relax miał opinię „polskiego hotelu”, bo zatrzymywały się w nim głównie wycieczki kupieckie z naszego kraju. Po każdym lądowaniu samolotu LOT, co odbywało się raz w tygodniu, na ladzie recepcji Relaksu leżały stopy suszarek, zegarków, whisky i kryształów. Obsługa była miła i co ważniejsze, mówiła już nieźle po polsku, wszystkie napisy wewnątrz również były polskie co dziwiło innych obcokrajowców nie obeznanych z hotelową specyfiką. Właściciel rozprowadzał

towar znanym sobie sposobem, turyści natomiast rozbiegali się po lokalnym bazarze zakupując wielkie ilości spódnic, bluzek i tego wszystkiego, czego wówczas w Peerelu brakowało. Do dzisiejszego dnia wielu lokalnych kupców pamięta jeszcze trochę język polski, chociaż z powodów praktycznych nauczyło się już rosyjskiego. Kupcy rosyjscy zastąpili Polaków i tak jak kiedyś nasi rodacy, chodzą od sklepu do sklepu z wielkimi torbami pełnymi kolorowych szmatek.

Polacy zajmowali się jednak również poważniejszym biznesem – przemysłem. W Indiach brakowało wówczas towarów z importu, w szczególności elektroniki, na którą popyt był ogromny. W Relaksie działała polska grupa przemysłowa zajmująca się zaopatrywaniem indyjskiego rynku w te różne, potrzebne i pożądane towary, głównie wideo, kamery wideo i części elektroniczne. Przez przypadek poznałem wtedy Wojtka, studenta z Poznania, który przepracował prawie rok dla dobrze zorganizowanej grupy polskich przemysłowców jako „wieszak”, czyli przewoźnik towarów. Będąc człowiekiem ambitnym uznał, że nie ma powodów do trzymania się starego szefa, jeśli można zamiast tego zacząć zarabiać na własny rachunek i założyć własną grupę. Zaproponował więc „wieszakowanie” mnie.

– To jest w sumie bardzo proste – powiedział, kiedy siedzieliśmy pijąc dżin z Limcą na dachu naszego hotelu – lecisz w pierw do Singapuru, gdzie mamy już umówiony sklep w którym kupujesz towar, na przykład odtwarzacz wideo, albo kamerę po obniżonych cenach. Przy okazji relaksujesz się trochę w kulturze, oglądasz te cudowne Chincezki-laleczki, a potem wsiadasz do Air India lecącego do Bombaju.

– Nie może być inna linia? – spytałem – i dlaczego do Bombaju, a nie do Delhi?

– Zaraz ci wytłumaczę. To musi być Air India, i to z międzyrządowym w Madrasie. Otóż lecisz sobie spokojnie do Bombaju. W Madrasie wsiadam ja – jako pasażer linii wewnętrznej – z taką samą walizką jak twoja, wypełnioną jakimiś ciuchami i razem lecimy do Bombaju. Nasze walizki wyjeżdżają z samolotu razem. Wymieniamy nalepki i numery, ty bierzesz moją, w której nie ma nic i, jako wracający z zagranicy przechodzisz przez cło – jeśli cię nawet zatrzymają to i tak nic nie znajdują, a ja biorę twoją walizkę z towarem i, jako pasażer z linii wewnętrznej, przechodzę nie kontrolowany przez osobne wejście. Sposób jest prosty, genialny, skuteczny i co najważniejsze zupełnie bezpieczny. Robiłem tą trasę już nie raz i nigdy jeszcze nie wpadłem.

Jak mnie poinformował Wojtek, w samym Delhi były już cztery polskie grupy przemysłowe – po dwie w hotelu Relax i na Tourist Campie. Jego miała być piąta. Prawdziwego przemytu na wielką skalę nie organizują jednak Polacy z hotelu Relax w New Delhi, ale indyjska mafia z Bombaju.

W latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych bombajskie podziemie, poza nielegalnym wyrobem alkoholu zajmowało się głównie przemysłem wartości miliardów dolarów. Najważniejszym towarem było złoto przetrucane z Dubaju. Ocenia się, że Indusi zgromadzili dziś, prywatnie, największe zasoby złota na świecie. Robili tak od stuleci. François Bernier, francuski lekarz i podróżnik, który spędził w połowie XVII wieku kilkanaście lat w Indiach pisze, iż „złoto i srebro,

które krąży w obiegu po całym świecie ostatecznie znika w Hindustanie”. Dla mieszkańców subkontynentu złoto było i w dużym stopniu pozostało wyznacznikiem społecznej pozycji jak i ostatecznym gwarantem bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo jest ważnym czynnikiem w zachowaniu każdego człowieka, więc indyjscy przestępcy postanowili mu to bezpieczeństwo ułatwić, tym bardziej, iż państwo robiło wszystko, żeby je utrudnić nakładając na złoto zaporowe cła. Wzdłuż indyjskiego wybrzeża w stanach Maharasztra i Gudżarat powstały kierowane przez mafię ośrodki za pośrednictwem których utrzymywano kontakt z krajami Zatoki Perskiej, głównie zaś Dubajem. Dubaj to wolny port i żyje z handlu. Przedstawiciele indyjskiego świata przestępczego w tym mieście-państwie nabywali złoto, elektronikę, zegarki, tworzywa sztuczne i odpowiednio, szczelnie je opakowawszy ładowali na spore statki. Te dowoziły je do Indii nie wpływając jednak na indyjskie wody terytorialne. Towar do Indii przerzucały małe, szybkie łodzie motorowe, albo powolne, z reguły żaglowe łodzie rybackie. Tylko niewielką część tego przemytu przejmowały służby celne. Według ocen policji do rąk władz trafiało nie więcej niż jeden-dwa procent szmuglowanego towaru.

Przemycem trudnili się nie tylko Indusi, ale również Pakistańczycy, Afgańczycy i Arabowie z Zatoki Perskiej. Gangi oparte były najczęściej o tożsamość etniczną lub religijną. Były to liczne grupy wywodzące się głównie z afgańskich Pathanów, z Muzułmanów i Hindusów. Ale w Indiach lat sześćdziesiątych działali także „wolni strzelcy”. Najśłynniejszym był Amerykanin, niejaki Daniel Hailey Walcott. Była to bardzo kolorowa postać o niezbyt jasnej przeszłości. Zajmował się na dużą skalę handlem bronią i diamentami na Bliskim Wschodzie, a do Indii trafił w 1964 roku, lądując swoim dwusilnikowym „Rellay-65” w stanie Maharasztra. Z Indii, przez Pakistan wywoził głównie diamenty przemycając z powrotem złoto kupowane tanio na Bliskim Wschodzie. Trzykrotnie, po zrzuceniu kontrabandy w umówionym miejscu lądował na lotnisku w Delhi. Za trzecim razem opóźnił odlot „z powodu awarii silnika”, który musiał wymontować i zawieźć do znajomego mechanika w Starym Delhi. Jak się później okazało, silnik był wykonany w całości ze złota.

Indyjskie służby miały niemało kłopotów z panem Walcottem, który poza dużą dozą szczęścia, pomysłowości i bezczelności miał również niezłe kontakty wśród indyjskiej elity politycznej. W końcu, w porozumieniu z bytyjskim New Scotland Yardem bombajska policja wysłała do Londynu, gdzie znajdowała się centrala Walcotta, jednego ze swoich najlepszych inspektorów, Dara F. Crawforda. Ówczesny minister spraw wewnętrznych rządu stanowego w Bombaju, Morarji Desai polecił mu „dostać Walcotta”. Crawford miał na to szczególną ochotę, tym bardziej, że kilka miesięcy wcześniej Walcott zakpił sobie z indyjskiej policji ponad wszelką miarę. Spędziwszy kilka miesięcy w delhijskim więzieniu wyszedł na wolność po tym, jak okazało się, że policja nie ma dostatecznych dowodów jego winy. Nie tylko spokojnie odleciał z delhijskiego lotniska skonfiskowaną wcześniej awionetką, ale parę razy okrążył więzienie Tihar zrzucając na dziedziniec dwa kilogramy słodyczy jako prezent „dla strażników i kolegów-więźniów”. Po miesiącach żmudnego



śledztwa w Londynie, na Cyprze i w Libanie inspektorom udało się w końcu aresztować gang Walcotta w Bombaju. Na kilka lat policja odetchnęła.

### Wróg publiczny numer jeden

Złoto, zegarki, nylony i bimber – wszystko to były dziecinne zabawy w porównaniu z obecną działalnością bombajskiej mafii pod kierunkiem Dawooda Ibrahima i jego braci: Anisa, Noory oraz dwóch najbliższych pomocników – Abu Salema i Mohammada Dossa. Według informacji indyjskiej policji Dawood mieszka obecnie w Karachi, jego brat Noora w Dubaju, a pozostali partnerzy w Indiach. Sam Dawood uciekł z Indii po oskarżeniu go przez władze o zorganizowanie wraz z wywiadem pakistańskim serii zamachów bombowych w Bombaju. Zamachy były odwetem za wcześniejsze zniszczenie meczetu Babara w Ajodhji przez fanatycznych hinduskich nacjonalistów. Kolejną sekwencją wydarzeń po wybuchach bomb, w których zginęło prawie trzysta przypadkowych osób były starcia na tle wyznaniowym między hindusami i muzułmanami, które z kolei przyniosły wiele setek śmiertelnych ofiar. Grupie Dawooda udało się zorganizować znakomicie funkcjonujące przedsiębiorstwo przemytu narkotyków, głównie heroiny do Europy i Afryki. Indyjska policja uważa, że jego udział w międzynarodowym handlu narkotykami wynosi blisko pół miliarda dolarów rocznie. Dawood współdziała w tym ze srilańską organizacją terrorystyczną Tygrysy-Wyzwolicieli Tamilskiego Eelamu (LTTE), która od piętnastu lat toczy na Cejlonie krwawą wojnę z wojskami rządowymi. Pozbawieni środków finansowych terroryści cejlońscy współpracują z Dawoodem w przerzutach narkotyków i broni. Heroina, którą sprzedaje Dawood trafia do Europy Zachodniej bardzo okreśną drogą. Najpierw opium produkowane w pakistańskiej Prowincji Północno-Zachodniej przewożone jest do Karachi, gdzie przerabia się go na czystą heroinę i pakuje. Następnie lądem i morzem szmuglowane jest do Bombaju, z Bombaju zaś, po przepakowaniu do Madrasu. Niewielka część pozostaje w Indiach na użytek wewnętrzny, znacznie większa trafia do Sri Lanki, skąd drogą morską do Wielkiej Brytanii, Francji i RFN, gdzie Dawood ma swoich ludzi, głównie hindusów z Gudżaratu. Jest to hermetycznie zamknięta grupa, do której postronni nie mają dostępu, nie różniąca się znowu tak bardzo od Sycylijszyków.

Pozostawieni w Bombaju współpracownicy Dawooda szukają cały czas nowych źródeł dochodów. Poza stręczycielstwem, które nie przynosi wielkich zysków, zajęli się głównie spekulacją nieruchomościami i lichwą. W ciągu ostatniego roku zamordowano kilku znanych bombajskich „deweloperów”, mających nie do końca wyjaśnione mafijne kontakty. Jak przypuszczają władze zorganizowana przestępczość zaczyna powoli przejmować bezpośredni udział w biznesie obrotem nieruchomości. Drugim rodzajem przemysłu z którym zorganizowana bombajska przestępczość była związana już od lat to produkcja filmów. W Bombaju kręci się rocznie z górą tysiąc filmów fabularnych. Jest to kosztowne zajęcie i znaczna część zainwestowanych pieniędzy pochodzi od mafii właśnie. Jej szefowie lubią się

pokazywać z reżyserami, producentami i, przede wszystkim, z pięknymi aktorkami. Niektóre zapraszane są specjalnie na wystawne przyjęcia do Dubaju i jeżdżą tam, rzecz jasna.

Dawood „wyszedł w świat” i chociaż nie zapomina o rodzinnych Indiach, to w samym Bombaju stracił już monopol. Jeden z jego podwładnych, Chhota Rajan uniezależnił się i założył własną zorganizowaną grupę przestępczą. Przede wszystkim jednak wypłynął na powierzchnie główny przeciwnik Dawooda, Arun Gawli. Gawli znając doskonale znaczenie właściwych politycznych powiązań założył nawet własną partię polityczną, która wystawiła kandydatów w wyborach powszechnych w 1998 roku. Sam Gawli znajduje się obecnie w więzieniu, ale prawdopodobnie nie potrwa to długo bo indyjska mafia ma długie ręce i wpływowych przyjaciół na wysokich szczeblach. Póki co wszystko wskazuje na to, że indyjska zorganizowana przestępczość ma przed sobą całkiem niezłą przyszłość.